



ERIC VAN LUSTBADER

ROBERT
LUDLUM

MISTYFIKACJA BOURNE'A

Monachium, Niemcy/Bali, Indonezja

— Potrafię porozumieć się po rosyjsku — powiedział sekretarz obrony Bud Halliday — wolałbym jednak prowadzić rozmowę w moim języku.

— To mi odpowiada — zgodził się rosyjski pułkownik. Mówił po angielsku z bardzo wyraźnym akcentem. — Każda możliwość rozmowy w obcym języku cieszy.

Halliday skwitował jego kpinę cierpkim uśmiechem. Święta racja, Amerykanie za granicą nie chcą używać języka innego niż angielski.

— Doskonale, załatwimy to szybko i bez problemu.

Ale nie przechodził do rzeczy, tylko w milczeniu patrzył na ścianę obwieszoną bardzo złymi portretami wielkich jazzu, takich jak Miles Davis i John Coltrane, skopiowanymi, bez wątpienia, z fotografii prasowych. Teraz, kiedy wreszcie zobaczył pułkownika na własne oczy, zaczął powątpiewać w sensowność tego spotkania. Po pierwsze, był on znacznie młodszy, niż Halliday oczekiwał. Miał jasne, gęste włosy, idealnie proste i przystrzyżone krótko, w stylu typowym dla rosyjskiej armii. Po drugie, sprawiał nieodparte wrażenie człowieka czynu; pod tanim materiałem, z którego uszyty był jego garnitur, od czasu do czasu uwidaczniały się napięte potężne mięśnie. Potrafił zachować wyprawdzający z równowagi spokój, pozostawać

idealnie nieruchomy. Ale tak naprawdę sekretarza niepokoiły jego oczy, blade, głęboko osadzone, niemrugające. Miał wrażenie, że patrzy na fotografię oczu. Bulwiasty, pocięty żyłkami nos tylko podkreślał ten ich osobliwy wygląd, a także uzmysławiał obserwatorowi, że nie mogą być wrotami duszy, bo ten człowiek jej nie ma, istnieje tylko potężna, nieprześlądana wola, zupełnie jak u któregoś z tych przerażająco starych, złowrogich stworów, o których Halliday, jako nastolatek, czytał w opowiadaniach H.P. Lovecrafta.

Zwalczył pokusę, by wstać i wyjść, nie oglądając się za siebie, ale musiał pamiętać, że ma tu coś do załatwienia.

Duszący Monachium smog, dokładnie tego samego brudno-szarego koloru co oczy Karpowa, doskonale odpowiadał nastrojowi sekretarza. Gdyby ktoś mu powiedział, że już nigdy nie zobaczy tej żalostnej namiastki miasta, toby go chyba ucałował. Niestety, w tej właśnie chwili siedział tu, w piwnicy, w jakimś cholernym zadymionym, nic nieznaczącym klubie jazzowym przy przepelnionej kłębiącym się tłumem turystów Rumfordstrasse, do którego dowiózł go opancerzony lincoln. Co tak niezwykle było w tym Rosjaninie, że amerykański sekretarz obrony pokonał prawie siedem tysięcy kilometrów, by spotkać się z nim w mieście, którego nienawidził?

Boris Karpow był pułkownikiem FSB-2, oficjalnie nowej rosyjskiej policji antynarkotykowej. Miarą władzy, do jakiej ta formacja doszła w stosunkowo krótkim czasie, był fakt, że oto jeden z jej oficerów potrafił nie tylko dotrzeć do Hallidaya, lecz nawet wyciągnąć go z Waszyngtonu.

No, ale Rosjanin dał do zrozumienia, że może dostarczyć coś, na czym zależy rozmówcy. Sekretarz mógł się zastanawiać, co to takiego, jednak akurat w tej chwili bardziej go interesowało, co będzie musiał dać w zamian. Aż za dobrze wiedział, że w tych sprawach zawsze jest coś za coś, w końcu był weteranem politycznych wojenek, prowadzonych nieustannie w otoczeniu prezydenta, tak z nim związanych, jak tornada związane są z Kansas. I aż za dobrze wiedział, że *quid pro*

quo trudno czasami zaakceptować, lecz kompromis to inna nazwa politycznej gry, czy to wewnętrznej, czy międzynarodowej.

Mimo wszystko Halliday mógłby nie przyjąć propozycji Karpowa, gdyby nie to, że jego pozycja na prezydenckim dworze osłabła nagle i dramatycznie. Szokujący upadek LaValle'a, osobiście przez niego wybranego cara imperium wywiadu, wstrząsnął fundamentami jego potęgi. Zarówno przyjaciele, jak i wrogowie krytykowali go za plecami i spekulowali, kiedy przyjdzie mu odejść; po prostu nie mógł nie zastanawiać się, który z nich pierwszy zada mu cios w plecy. Lecz jednocześnie grał w tę grę wystarczająco długo, by wiedzieć, że czasami pomoc zjawia się znikąd i ma bardzo nieprzyjemną formę łoża nabitego gwoździami. Liczył na to, że zaproponowany przez Karpowa układ pomoże mu odzyskać zarówno prestiż w oczach prezydenta, jak i podstawę władzy, którą zawsze gwarantował wielonarodowy kompleks militarno-przemysłowy.

Trio na scenie zaczęło hałasować wniebogłosy, a Halliday przejrzał w pamięci akta Borisa Karpowa, jakby tym razem miał znaleźć w nich jakieś dodatkowe informacje, cokolwiek, choćby fotografię pułkownika, zrobioną podczas inwigilacji, obojętnie jak ziarnistą i nieostrą. Takiego zdjęcia oczywiście nie było, informacje o Karpowie zajmowały cztery suche akapity napisane na części kartki papieru opatrzonej znakiem wodnym „Ściśle Tajne”. Ponieważ administracja traktowała Rosję lekceważąco, NSA niewiele wiedziała o funkcjonowaniu rosyjskiego systemu politycznego, by już nie wspomnieć o funkcjonowaniu FSB-2, którego prawdziwa misja skrywała się jeszcze głębiej niż samego FSB, politycznego dziedzica tego, co było kiedyś KGB.

— Panie Smith, sprawia pan wrażenie roztargnionego. — Na potrzeby tej rozmowy Rosjanin i Amerykanin zgodzili się używać pseudonimów: pan Jones i pan Smith.

Sekretarz odwrócił wzrok od fotografii jazzmanów. Wyjątkowo niepewnie czuł się pod ziemią, w odróżnieniu od Karpowa, który w jego oczach coraz bardziej sprawiał wrażenie

istoty z mroku. Podniósł głos, próbując przekrzywić dobiegający ze sceny rytmiczny brzęk.

— Nic nie może być dalsze od prawdy, panie Jones. Ja tylko z rozkoszą turysty chłonę atrakcje, które uznał pan za stosowne mi zapewnić.

Pułkownik roześmiał się niskim, gardłowym śmiechem.

— Ma pan doprawdy pocieszne poczucie humoru.

— Przejrzał mnie pan na wylot.

Tym razem Rosjanin roześmiał się na całe gardło.

— Jeszcze się o tym przekonamy, panie Smith. Nie znamy nawet naszych żon, trudno więc uznać, że każdy z nas zna swego... odpowiednika.

Odrobina wahania w głosie Karpowa kazała Hallidayowi zastanowić się przelotnie nad tym, czy nie zamierzał on powiedzieć „przeciwnika” i w ostatniej chwili zdecydował się na bardziej neutralne określenie. Nie zastanawiał się natomiast nad tym, czy wie on coś o jego pozycji politycznej, ponieważ nie miało to najmniejszego znaczenia. Obchodziło go tylko, czy układ, którego istotę miał poznać, pomoże mu czy nie.

Trio zmieniło tempo; tylko to uświadomiło sekretarzowi, że zaczęło kolejny utwór. Pochylił się nad szklanką zbyt gorzkiego piwa, którego wypił zaledwie jeden bardzo mały łyk. Coorsa tu nie podawali.

— Przejdźmy do sedna, dobrze? — zaproponował.

— Ależ bez zwłoki. — Karpow zaplótł ręce na piersiach, położył dłonie na opalonych przedramionach. Kostki palców miał pokryte bliznami i żółtymi odciskami. Wyglądały jak miniatura Gór Skalistych. — Wiem, panie Smith, że nie muszę panu tłumaczyć, kim jest Jason Bourne, prawda?

Twarz Hallidaya znieruchomiała. Czuł się tak, jakby Rosjanin oblał go freonem.

— O co panu chodzi? — spytał bezbarwnym tonem.

— O to, panie Smith, że go dla pana zabiję.

Sekretarz nie marnował czasu na zadawanie pytań, choćby o to, skąd Karpow wie, że chętnie widziałby Bourne’a mar-

twego. W ciągu ostatniego miesiąca NSA była zbyt aktywna w Moskwie; nawet ślepy, głuchy i głupi musiał zrozumieć, że ten człowiek został przeznaczony do likwidacji.

— Bardzo to z pańskiej strony wielkoduszne, panie Jones.

— Nie. To nie kwestia wielkoduszności. Mam własne powody, dla których chętnie widziałbym go martwego.

Sekretarz wyraźnie odprężył się na te słowa.

— W porządku, powiedzmy, że zabije pan tego człowieka. Czego chce pan w zamian?

W oczach pułkownika błysnęło coś, co u każdego innego człowieka można by nazwać iskierką ironii, ale Halliday, nadal usiłujący ocenić rozmówcę, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Karpow przyprawiłby Bourne'a o dreszcz. Tak zapewne błyszczały oczy śmierci.

— Znam tę reakcję, panie Smith. Nie musi mi pan mówić, że spodziewa się najgorszego: żądania wysokiej zapłaty. Ja jednak, w zamian za licencję na zdjęcie Bourne'a wraz ze zwolnieniem z odpowiedzialności za nieszczęśliwe wypadki, do których może dojść, wymagam wzajemności: wyjęcia ciernia, który tkwi mi w boku.

— I którego nie może pan wyjąć samodzielnie?

Karpow poważnie skinął głową.

— Przejrzał mnie pan, panie Smith.

Obaj mężczyźni roześmiali się, ale śmiech każdego z nich brzmiał inaczej.

— A więc... — Halliday złożył dłonie jak do modlitwy — ...kto ma być celem?

— Abdullah Churi.

Sekretarz poczuł na sercu wielki ciężar.

— Głowa Braterstwa Wschodu? Chryste Przenajświętszy, równie dobrze mógłby pan zażądać, żebyśmy zlikwidowali papieża!

— Zlikwidowanie papieża nie przysłużyłoby się żadnemu z nas. Abdullah Churi... cóż, to zupełnie inna sprawa, nie uważa pan?

— Uważam, oczywiście. Ten człowiek to radykalny muzulmański szaleniec, przez co jest jeszcze groźniejszy. W tej chwili chodzi pod rękę z prezydentem Iranu. Ale... Braterstwo Wschodu jest organizacją międzynarodową. Churi ma wielu bardzo wysoko postawionych przyjaciół. — Halliday gwałtownie potrząsnął głową. — Próba wyeliminowania go byłaby politycznym samobójstwem.

Karpow znów przytaknął mu skinieniem.

— Jest to, oczywiście, niewątpliwie prawda. A co można powiedzieć o terrorystycznej aktywności Bractwa?

Halliday tylko prychnął lekceważąco.

— Mrzonki, w najlepszym razie plotki. Żadna z naszych licznych organizacji wywiadowczych nie znalazła nigdy choćby strzępka wiarygodnej informacji o jego powiązaniach z jakąś organizacją terrorystyczną. A szukaliśmy długo. Proszę mi wierzyć.

— Och, nie mam najmniejszych wątpliwości, co tylko oznacza, że w domu profesora Spectera nie znaleźliście żadnych dowodów działalności terrorystycznej.

— Nie ma wątpliwości, że nasz pan profesor polował na terrorystów. Co do zarzutów, że robił nie tylko to... — Halliday wzruszył ramionami.

Nagły uśmiech ożywił twarz Rosjanina. Nagle, jakby znikąd, na stoliku, przy którym siedzieli naprzeciw siebie, zmaterializowała się gładka szara koperta. Przesunął ją w stronę Hallidaya, jakby ustawiał królową na polu: szach, mat. Sekretarz rozerwał ją i gdy oglądał zawartość, Rosjanin mówił dalej:

— Jak pan wie, FSB-dwa zajmuje się przede wszystkim międzynarodowym handlem narkotykami.

— Owszem, słyszałem — przytaknął Amerykanin sucho, mając całkowitą cholerną pewność, że zakres kompetencji tej instytucji jest znacznie, ale to znacznie szerszy.

— Dziesięć dni temu rozpoczęliśmy ostatnią fazę zakrojonej na szeroką skalę akcji antynarkotykowej w Meksyku, którą przygotowaliśmy przeszło dwa lata. Bezpośrednim powodem

jej przeprowadzenia było to, że jedna z naszych moskiewskich *gruppierowek*, Kazachowie, włączyła się w narkotykowy biznes. Szukała bezpiecznego źródła i towaru transportu.

Halliday skinął głową. Wiedział to i owo o Kazachach, jednej z najlepiej znanych moskiewskich rodzin przestępczych i jej głowie, Dimitriju Masłowie.

— Przy okazji z przyjemnością informuję pana, że operacja zakończyła się powodzeniem — kontynuował Karpow. — Podczas przeszukania domu martwego już wówczas króla narkotykowego Gustava Morena skonfiskowaliśmy jego komputer, notebook, nim został zniszczony. Informacja, z którą zapoznaje się pan w tej chwili, to wydruk części zasobów zapisanych na twardym dysku tego komputera.

Halliday poczuł, jak marzną mu czubki palców. Wydruk był aż gęsty od liczb, notatek, odnośników.

— Mamy tu dokładny opis obiegu pieniądza. Meksykański kartel narkotykowy finansowany był właśnie przez Braterstwo Wschodu. Pięćdziesiąt procent dochodów szło na zakup broni transportowanej do portów na Środkowym Wschodzie przez linie lotnicze Air Afrika. Będące w całości własnością Nikołaja Jewsena, największego światowego handlarza bronią — uzupełnił pułkownik i odchrząknął. — Widzi pan, panie Smith, w moim rządzie istnieją potężne grupy związane z Iranem. My chcemy ich ropy, oni chcą naszego uranu. W dzisiejszych czasach energia to atut. Biję wszystko, prawda? No i tak... siedząc przy zielonym stoliku naprzeciw pana Abdullaha Churiego, znalazłem się w niezręcznej sytuacji. Dysponuję dowodami jego aktywności terrorystycznej, a jednak nie mogę działać na ich podstawie. — Przekrzywił głowę. — Być może pan mógłby mi pomóc?

Halliday uspokoił łomoczące w piersi serce.

— Dlaczego chce pan wyeliminować Churiego?

— Mógłbym to panu powiedzieć, oczywiście... — Karpow westchnął ciężko — ...ale wówczas musiałbym pana zabić.

Był to dowcip stary i mocno zwietrzały, ale w błędnych, nieprzeniknionych oczach Rosjanina znów pojawił się znany

już Hallidayowi błysk i sekretarz poczuł chłód na nieprawdopodobną myśl, że być może to wcale nie jest żart? Tego problemu wolałby nie rozwiązywać, więc podjął szybką decyzję.

— Proszę unieszkodliwić Bourne'a, a użyję całej potęgi amerykańskiego rządu, by Abdullah Churi dostał to, na co zasługuje.

Nie skończył, a pułkownik już potrząsał głową.

— To mi nie wystarczy, panie Smith. Oko za oko, bo takie jest właściwe znaczenie *quid pro quo*, prawda?

— My nie zabijamy ludzi, pułkowniku Karpow — powiedział Halliday sztywno.

Rosjanin roześmiał się krótko, nieprzyjaźnie.

— Oczywiście — przytaknął sucho. — Zresztą to bez znaczenia. Ja nie mam takich skrupułów, panie sekretarzu.

Amerikanin wahał się bardzo krótko.

— Tak, w gorączce chwili zapomniałem o poczynionych przez nas ustaleniach, panie Jones. Proszę przysłać mi zawartość twardego dysku i sprawę może pan uznać za załatwioną. — Zebrał się w sobie i spojrzał w blade oczy. — Zgoda?

Boris Karpow skinął głową szybko, po wojskowemu.

— Zgoda — przytaknął.

• • •

Rosjanin wyszedł z klubu. Zlokalizował lincolna Hallidaya i agentów Secret Service stojących rzędem wzdłuż Rumfordstrasse jak ołowiane żołnierzyki, po czym ruszył w przeciwnym kierunku. Skręcił za róg, wsadził palec w usta i wyjął z nich plastikowe protezy, zmieniające kształt policzków. Złapał się za pożyczkowy bulwiasty gumowy nos, przyklejony do twarzy klejem charakteryzatorskim, oderwał go bez problemu. Znow był sobą. Roześmiał się głośno. W FSB-2 rzeczywiście służył pułkownik Karpow, co więcej, on i Bourne byli przyjaciółmi i to właśnie sprawiło, że Leonid Daniłowicz Arkadin postanowił wcielić się właśnie w niego. Spodobała mu się ta ironia: przy-

jaciel Bourne'a prosi o wyeliminowanie Bourne'a. A w dodatku Karpow był nicią sieci, którą tkął cierpliwie.

Amerykański polityk nie stanowił żadnego niebezpieczeństwa. Arkadin wiedział z całą pewnością, że jego ludzie nie mają pojęcia o tym, jak wygląda Karpow. Mimo to, nawet jeśli odebrany w Treadstone trening nauczył go nigdy nie zostawiać niczego przypadkowi, miał doskonały powód, by upodobnić się do Karpowa.

Anonimowy w tłumie pasażerów, wsiadł do U-bahnu na Marienplatz. Trzy przystanki i cztery przecznice dalej znalazł czekający na niego w wyznaczonym miejscu, nierzucający się w oczy samochód. Wsiadł i natychmiast odjechał w stronę międzynarodowego lotniska Franza Josefa Straussa. Miał rezerwację na lot Lufthansy do Stambułu o pierwszej dwadzieścia w nocy. W Stambule złapie samolot do Denpasar na Bali, startujący o dziewiątej trzydzieści pięć rano. Znacznie łatwiej przyszło mu śledzić poczynania Bourne'a — ludzie z NextGen Energy Solutions, gdzie pracowała Moira Trevor, zawsze wiedzieli, gdzie podziewa się tych dwoje — niż skraść laptopa Gustava Morena, ale miał swoich ludzi nawet u Kazachów. Jednemu szczęście dopisało do tego stopnia, że był w domu Morena godzinę przed atakiem sił FSB-2. Zwiął z obciążającymi dowodami, które posłużą teraz do złożenia Abdullaha Churiego dwa metry pod ziemią. Gdy tylko Arkadin zastrzeli Bourne'a.

• • •

Jason Bourne zyskał spokój. Długa żałoba po Marie skończyła się wreszcie, poczucie winy już mu nie ciążyło. W tej chwili leżał obok Moiry na *bale*, wielkiej balijskiej leżance, osłoniętej strzechą opartą na czterech drewnianych słupkach i wpuszczonej w ściankę basenu z jednej strony otwierającego się na cieśninę Lombok, której wody oblewają południowo-wschodni brzeg Bali. Ponieważ Balińczycy widzą wszystko i nie zapominają niczego, już po pierwszym dniu pobytu ustawiano im *bale* co rano, kiedy pływali przed śniadaniem, a kelnerka bez pytania

przynosiła drinka, którego Moira lubiła najbardziej, bali sunrise: schłodzona cytryna, mango i sok z marakui.

— Nie ma tu czasu, jest tylko czas — powiedziała rozmarzona Moira.

— To znaczy? — Bourne poruszył się przy jej boku.

— Wiesz, która godzina?

— Nie i nic mnie to nie obchodzi.

— No właśnie. Jesteśmy tu dziesięć dni, a mnie się wydaje, że dziesięć miesięcy. — Moira się roześmiała. — Co należy rozumieć w najlepszym możliwym sensie.

Jerzyki niczym nietoperze polatywały od drzewa do drzewa, a czasami niemal muskały skrzydłami lustro wody najwyższego z basenów. Ledwie słyszalny szmer spadającej z niewielkiej wysokości wody kołysał do snu. Zaledwie chwilę temu dwie miejscowe małe dziewczynki obdarowały ich świeżymi kwiatami w misie z palmowych liści własnoręcznie przez nich zszytych i powietrze przesycił egzotyczny zapach plumerii i tuberozy.

Moira obróciła się i popatrzyła na niego.

— Jest właśnie tak, jak mówią: na Bali czas stoi w miejscu i ten bezruch obejmuje wiele długości ludzkiego życia.

Bourne, przymknąwszy oczy, myślał o innym życiu, swoim życiu, ale przywoływane z pamięci obrazy były niewyraźne, mroczne, jak film rzucany na ekran przez projektor z wadliwą lampą. Wiedział, że kiedyś już tu był. Powiew wiatru, kojący szum morza, uśmiech ludzi, sama wyspa budziła echa w jego sercu. Było to *déjà vu*, owszem, ale także coś więcej. Coś go tu przywołało, coś przyciągnęło go tak, jak magnetyczna północ przyciąga igłę kompasu, a teraz, gdy był już na miejscu, odczuwał owo coś tak, jakby było na wyciągnięcie ręki. A jednak nie dawało się dotknąć.

Co tu się stało? Coś ważnego, coś, o czym powinien pamiętać. Zapadł głębiej w sen o życiu takim, jakie prowadził. W tym śnie włączył się po Bali, aż trafił nad brzeg Oceanu Indyjskiego i zobaczył wznoszący się z kremowej fali przypiływu słup ognia,

sięgający czystego, błękitnego nieba, przebijający je, sięgający słońca swym wierzchołkiem. A on niczym cień szedł po piasku miękkim jak talk. Szedł wprost w ogień.

• • •

Kiedy tego wieczoru schodzili z boczem klifu, na którego szczycie przysiadł hotel, do klubu plażowego, Moira zatrzymała się przy jednej z kapliczek, których wiele było w okolicy. Kapliczką tą był głąz przykryty płótnem w czarno-białą kratę. Mała żółta parasolka ocieniała złożone na nim dary: jaskrawe, kolorowe kwiaty w koszyczkach uplecionych z liści palmowych. Płótno i parasolka oznaczały, że duchy znajdują się gdzieś w pobliżu. Wzór płótna też miał swe znaczenie, czerń i biel symbolizowała typowy dla bali dualizm bogów i demonów, dobra i zła.

Moira zrzuciła sandały, weszła na prostokątny kamień przed świątynką, złożyła dłonie tak, że stykały się palcami na wysokości czoła i pochyliła głowę.

— Nie wiedziałem — powiedział Bourne, gdy skończyła modły — że praktykujesz hinduizm.

Moira podniosła sandały. Trzymała je w ręce opuszczonej swobodnie wzdłuż ciała.

— Dziękowałam duchowi za czas, który tu spędziliśmy, i za wszystkie dary, które oferowała nam Bali. — Uśmiechnęła się kpiąco. — Podziękowałam też duchowi prosiaczka, którego jedliśmy wczoraj, za to, że się dla nas poświęcił.

Zarezerwowali cały wieczór w klubie plażowym tylko dla siebie. Na miejscu czekały już na nich ręczniki, a także zmrożone szklanki *lassi* z mango, dzbany soków, owoców tropikalnych i wody. Obsługa wycofała się dyskretnie do pozbawionej okien pomocniczej kuchni.

Spędzili godzinę w oceanie, pływając tuż za linią fal. Ciepła woda otulała ich skórę miękko jak aksamit. Po ciemnej plaży biegały kraby pustelniki, jak zwykle mające swe niecierpiące zwłoki interesy, a tu i tam można było nawet zobaczyć nieto-

perze, to wlatujące do jaskini znajdującej się po drugiej stronie plaży, tuż za skalną kolumną wieńczącą zachodni kraniec jej półksiężycy, to znów z niej wylatujące.

Po kąpielu popijali *lassi* w basenie, strzeżeni przez wielką drewnianą, uśmiechniętą świnię z obrozą z kółek na szyi i koronie na łbie, nad uszami.

— Ona się uśmiecha — powiedziała Moira. — Uśmiecha się, bo złożyłam hołd prosiaczkowi.

Potem zrobili kilka kółek w basenie. Spotkali się pod rozpostartymi nad wodą gałęziami wspaniałej plumerii, pokrytymi żółtobiałymi i żółtymi kwiatami. Ukryci pod nimi, mocno do siebie przytuleni, obserwowali księżyc, to pojawiający się, to znikający za chmurami. Porywy wiatru szarpały liśćmi dziesięciometrowych palm rosnących rzędem przy brzegu basenu od strony plaży; ich pnie z białych stawały się coraz ciemniejsze.

— To już prawie koniec, Jasonie.

— Koniec czego?

— Tego. — Moira poruszyła dłonią, która pod wodą wyglądała jak chyża rybka. — Tego wszystkiego. Zostało nam tylko kilka dni.

Bourne przyglądał się księżycowi gasnącemu za zasłoną chmur. Chwilę potem poczuł, że na twarz padają mu krople, i zobaczył, jak woda w basenie pokrywa się gęsią skórką deszczu.

Moira położyła mu głowę na ramieniu. Schroniła się głębiej w cieniu plumerii.

— Co będzie z nami? — spytała.

Wiedział, że nie oczekuje odpowiedzi, sprawdza tylko smak tych słów na wargach. Czuł bliskość jej ciała i źródło ciepła w wodzie, tuż przy sercu. To była dobra bliskość, dobre ciepło. Uspokajało. Nagle poczuł się senny.

— Jasonie, co będziesz robił, kiedy wrócimy?

— Nie wiem — odpowiedział zgodnie z prawdą. — Jeszcze o tym nie myślałem.

Zastanowił się w tym momencie, czy nie powinien wyjechać wraz z nią. Lecz jak mógłby wyjechać, skoro czeka tu na niego coś z jego przeszłości, tak bliskie, że czuje jego oddech na

karku? Nie wspomniał jednak o tym ani słowem, ponieważ gdyby wspomniał, musiałby wdać się w wyjaśnienia, a przecież nie potrafi niczego wyjaśnić. Dysponuje wyłącznie przeczuciami. Ileż to razy życie ocaliły mu wyłącznie przeczucia?

— Nie wracam do NextGenu.

Te słowa przyciągnęły jego uwagę.

— Kiedy podjęłaś decyzję? — spytał.

— Podczas naszego pobytu. — Uśmiechnęła się. — Atmosfera Bali najwyraźniej sprzyja ryzykownym decyzjom. Przyjechałam tu tuż przed podjęciem pracy w Black River. Najwyraźniej jest to wyspa przemian, przynajmniej dla mnie.

— Co chcesz zrobić?

— Założyć własną firmę kontroli ryzyka.

— Miłe. — Bourne uśmiechnął się lekko. — Bezpośrednią konkurentką Black River.

— Jeśli spojrzeć na to z tej strony...

— Ludzie tak będą patrzyli.

Padało coraz mocniej, liście palm kołysały się i zderzały ze sobą, nie sposób było dostrzec nieba.

— To może być niebezpieczne — dodał Bourne.

— Życie jest niebezpieczne, Jasonie. Jak wszystko, czym rządzi chaos.

— Nie sposób się z tym nie zgodzić. No, ale jest jeszcze twój były szef, Noah Petersen.

— To jego operacyjne nazwisko. Naprawdę nazywa się Perlis.

Bourne podniósł głowę. Obserwował białe kwiaty opadające wokół nich niczym płatki śniegu. Słodka woń plumerii mieszała się ze świeżym zapachem deszczu.

— Perlis nie sprawiał wrażenia zachwyconego, kiedy dwa tygodnie temu wpadłaś na niego w Monachium.

— Noah nie bywa zachwycony. — Moira mocniej przytuliła się do Jasona. — Dałam spokój próbom zadowolenia go pół roku przed odejściem z Black River. Robota głupiego.

— Pozostaje faktem, że mieliśmy rację w sprawie ataku terrorystycznego na gazowiec, a on się mylił, i założy się, o ile

chcesz, że o tym nie zapomniał. Jeśli teraz wtargniesz na jego terytorium, zrobisz sobie z niego śmiertelnego wroga.

Roześmiała się cicho.

— I kto to mówi!

— Arkadin nie żyje — oświadczył rzeczowo Bourne. — Skoczył z pokładu gazowca do oceanu przy Palm Beach. Nie przeżył. Nikt nie zdołałby przeżyć czegoś takiego.

— Był wytworem Treadstone, prawda? Czy nie o tym powiedział ci Willard?

— Zdaniem Willarda, który był przy tym obecny, Arkadin był pierwszym sukcesem Aleksa Conklina... i zarazem jego pierwszą klęską. Przesłał go do Conklina Siemion Ikupow, współdowódca Czarnym Legionem i Braterstwem Wschodu, póki Arkadin nie zabił go z zemsty za to, że zastrzelił jego dziewczynę.

— A jego tajny partner, Asher Sever, twój niegdysiejszy mentor, leży w śpiączce, z której nigdy się nie obudzi.

— W końcu wszyscy dostajemy to, na co zasłużyliśmy — powiedział Bourne z goryczą.

Moira wróciła do tematu Treadstone.

— Według tego, co mówił Willard, celem Conklina było wyprodukowanie niezwykłego wojownika, prawdziwej maszyny bojowej.

— Stworzył Arkadina, ale Arkadin uciekł z programu, wrócił do Rosji i narobił strasznego zamieszania, wynajmując się głowom różnych moskiewskich *gruppierowek*.

— A ty zostałeś jego następcą... i dowodem jego triumfu.

— Nie w oczach dyrektorów wydziałów Centrali Wywiadu — zauważył Bourne. — Woleliby już nigdy mnie nie zobaczyć. Zastrzelić i mieć spokój.

— Co im nie przeszkadzało zmuszać cię do współpracy, jeśli akurat uznawali to za przydatne.

— Z tym na szczęście koniec.

Moira postanowiła znów zmienić temat... i w tym momencie wyłączono elektryczność. Oświetlenie basenu oraz należącej do klubu plaży zgasło, niesiony wiatrem deszcz chłostał ich

w całkowitej ciemności. Bourne wyteżył wszystkie zmysły, Moira czuła, że próbuje ją odepchnąć, wstać, poprzez mrok odkryć źródło awarii.

— Jasonie — szepnęła. — Wszystko w porządku. Tu jesteśmy bezpieczni.

Wspólnie, nadal przytuleni, przesunęli się w wodzie z miejsca, gdzie siedzieli, pod przeciwległą ścianę. Moira czuła przyspieszone bicie jego serca, podwyższoną aktywność zmysłów, oczekiwanie na coś strasznego, co może zdarzyć się w każdej chwili. W tym momencie mogła wreszcie wejrzeć w jego życie tak głęboko, jak nigdy dotąd.

Pragnęła powtórzyć raz jeszcze, że nie ma się czego bać, że na Bali przerwy w dostawie elektryczności to norma, ale wiedziała, że w ten sposób niczego nie osiągnie. Jason był zaprogramowany na takie zachowania, nie zmieni tego nic, co ona powie lub zrobi.

Wsluchiwała się w deszcz i wiatr, zadając sobie pytanie, czy usłyszała coś, czego nie słyszała ona. Poczowała chwilowe ukłucie niepokoju... a jeśli nie był to zwykły brak prądu? Jeśli tropią ich wrogowie Jasona?

Światła rozbłyły nagle, skłaniając ją do śmiechu. Okazała się taka głupia!

— Mówiłam ci — powiedziała, wskazując uśmiechniętego ducha świni — że jesteśmy pod jego opieką.

Bourne zanurzył się w wodzie.

— Nie ma ucieczki — westchnął. — Nawet tu.

— Nie wierzysz w duchy, dobre czy złe, prawda, Jasonie?

— Nie mogę sobie na to pozwolić. Widziałem zbyt wiele rzeczywiściego zła.

Sposób, w jaki to powiedział, skierował uwagę Moiry na temat w tej chwili najbliższy jej sercu.

— Muszę znaleźć i zatrudnić ludzi. Natychmiast. Z pewnością będziemy się teraz rzadziej widywali, przynajmniej dopóki nie uruchomię sklepika.

— Czy to ostrzeżenie, czy obietnica?

Nie uszło jego uwagi, że w jej śmiechu pobrzmiewała niepewność.

— No tak... denerwowałam się, a tę sprawę trzeba było przecież poruszyć, prędzej czy później.

— Dlaczego?

— Wiesz, jak to jest...

— Nie wiem. Ty mi powiedz.

Odwróciła się w jego ramionach, objęła go nogami. Słyszeli tylko szum deszczu uderzającego w liście palm i marszczącego wodę w basenie.

— Jasonie, nie jesteśmy tego rodzaju ludźmi... to znaczy prowadzimy życie, w którym trudno jest o coś stałego, zwłaszcza stały związek...

Bourne uciał tę przemowę pocałunkiem, a kiedy go przerwali, żeby zaczerpnąć oddechu, wyszeptał jej do ucha:

— Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy razem, a kiedy będziemy chcieli znowu być razem, po prostu tu wrócimy.

Moira poczuła, jak jej serce wypełnia radość. Przytuliła się do niego. Mocno.

— Jesteśmy umówieni — odpowiedziała szeptem. — O tak, jesteśmy umówieni.

• • •

Samolot z Singapuru wylądował o czasie. Na stanowisku odprawy Arkadin zapłacił za wizę wjazdową, po czym przeszedł szybko przez terminal do męskiej toalety. Wszedł do kabiny, sprawdził, czy drzwi są dokładnie zamknięte. Z przewieszanej przez ramię torby wyjął bulwiasty lateksowy nos, trzy słoiki scenicznego makijażu, miękkie plastikowe wkładki pod policzki i szare szkła kontaktowe, których użył już raz, w Monachium. Co najwyżej po ośmiu minutach wyszedł z kabiny i stanął przed jednym z luster umieszczonych nad rzędem umywalek. Znowu wyglądał dokładnie tak, jak przyjaciel Bourne'a, pułkownik FSB-2 Boris Karpow.

Spakował torbę i wyszedł z lotniskowego terminalu w upał

i tłum kłębiących się wokół niego ludzi. Klimatyzacja taksówki wydała mu się błogosławieństwem. Kiedy wyjeżdżali z lotniska Ngurah Rai International, pochylił się i powiedział do kierowcy: „Bazar Badung”. Chłopak skinął głową, uśmiechnął się i wraz z armadą dzieciaków na skuterach natychmiast utknął za ogromną ciężarówką wlokącą się w stronę promu na Lombok.

Po koszmarnych dwudziestu minutach, podczas których zdołali wyprzedzić ciężarówkę, rozpędzając ruch na przeciwnym pasie, zabawili się w „kto pierwszy ustąpi” z parą nastolatków na motorach i omal nie przejechali jednego z tysięcy żyjących na wyspie zdziczałych psów, dotarli wreszcie na Jl. Gajah Mada, znajdujące się po przeciwnej stronie rzeki Badung. Taksówka zwolniła, wlokła się w ślimaczym tempie, aż wreszcie tłumy zatrzymały ją na dobre. Arkadin zapłacił kierowcy dodatkowo za to, by kręcił się po okolicy, póki on nie wróci, po czym wszedł na kryty bazar.

I natychmiast pogrążył się w chmurze ostrych zapachów — pasty z czarnych krewetek, różnych rodzajów chili, czosnku, *karupuk*, cynamonu, palczatki cytrynowej, liści pandanu, alpinii, kentioru i liści lauowych — i krzykliwych głosów sprzedawców, oferujących dosłownie wszystko, od bojowych kogutów o piórach pomalowanych na różowo i pomarańczowo począwszy, na żywych prosiakach, skrepowanych i przywiązanych do bambusowych drągów w celu ułatwienia ich transportu skończywszy.

Mijał stragan wypełniony szerokimi kosztami przypraw. Sprzedawczyni, stara kobieta pozbawiona górnej wargi, zanurzyła szponiastą dłoń w kadzi wypełnionej korzeniami, a potem wyciągnęła ją w jego stronę.

— Kentior — powiedziała. — On dobry dziś.

Arkadin przyjrzał się kłęczu: przypominało imbir, tylko było mniejsze. Czując obrzydzenie na widok zarówno rośliny, jak i ohydnej handlarki, odsunął kłęczę kentioru i poszedł dalej.

Kierował się do jednego ze straganów, gdzie sprzedawano prosiaki. Ktoś postukał go w ramię, szybko, lecz lekko, jakby drapała go kurza łapa. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył

kobietę trzymającą w ramionach dziecko, wpatrującą się w niego błagalnym wzrokiem. Nie przestawała stukać go brązowymi palcami, jakby tylko do tego się nadawały. Zignorował ją i dalej przepychał się przez tłum. Wiedział, że gdyby dał jej cokolwiek, natychmiast obległby go tłum żebraków.

Handlarzem ze środkowego straganu był przysadzisty, przypominający żabę mężczyzna o okrągłej twarzy, błyszczących czarnych oczach, wyraźnie kulejący. Po tym, jak Arkadin przedstawił mu się pełnym zdaniem wypowiedzianym po indonezyjsku, poprowadził go w głąb namiotu wśród rzędu skrępowanych, drżących z przerażenia, tępo patrzących przed siebie prosiąt. W najdalszym, ciemnym kącie leżały świńskie tusze, wypatroszone, oczekujące rożna. Z wnętrza jednej z nich wyciągnął remingtona 700P, jego zdaniem idealnego dla tego właśnie klienta. Arkadin odmawiał konsekwentnie, aż w końcu handlarz zdecydował się przejść do planu B, który okazał się więcej niż satysfakcjonujący: parker hale M85, precyzyjny, samopowtarzalny karabin wyborowy o ciężkiej lufie. Gwarantował celny strzał z odległości do siedemdziesięciu metrów. Handlarz dorzucił do niego także celownik Schmidt & Bender Police Marksman II 4-16x50. Cena za te dobra okazała się nieco wygórowana nawet po dłuższej chwili bardzo gwałtownych targów, które znacznie ją obniżyły, ale tak blisko ofiary myśliwy nie miał szczególnej ochoty na szukanie dziury w całym. No i, tak czy inaczej, dostawał to co najlepsze. Namówił świniarza do dorzucenia pudełka pocisków pełnopłaszczowych M118 kalibru .30 i uznał transakcję za stuprocentowy sukces. Zapłacił, a sprzedawca sprawnie rozłożył karabin i wraz z celownikiem umieścił go w sztywnej walizce.

Idąc do wyjścia Arkadin kupił sobie kiść bananów. Siedząc w taksówce opuszczającej Denpasar, jadł je metodycznie, jednego po drugim. Na szosie szybkość drastycznie wzrosła. Ruch przerzedził się, co ułatwiło wyprzedzanie długich rzędów wielkich, powolnych ciężarówek.

W Gianyarze zobaczył po lewej stronie bazar pod gołym niebem. Kazał kierowcy zatrzymać samochód. Choć zjadł

banany, a może właśnie dlatego, w żołądku mu burczało; potrzebował prawdziwego posiłku. Na bazarze zamówił miszkę *babi guling*, pieczonego prosiaka, oraz podawany na szerokich, jaskrawozielonych liściach bananowca *lawar* — orzech kokosowy z paskami przyprawionego żółwiego mięsa. Szczególnie odpowiadał mu sos z surowej krwi. Rwał zębami soczystą wieprzowinę, łykał szybko i natychmiast brał drugi kęs.

Ze względu na wszechwładnie panujący na bazarze przeraźliwy hałas często sprawdzał telefon komórkowy. Im dłużej czekał, tym bardziej wzrastało napięcie, musiał jednak zdobyć się na cierpliwość, bo jego człowiek potrzebował kilku dni na zorientowanie się, co porabia Bourne i jaki jest rozkład jego dnia. Mimo to denerwował się w sposób bardzo dla siebie nietypowy. Złożył to na karb bliskości Bourne'a. Było w tym człowieku coś, co spowodowało, że zalażł mu za skórę, stał się czymś w rodzaju swędzącej wysypki w miejscu, w które nie sposób się podrapać.

Arkadin próbował się opanować i zamiast rozmyślać o teraźniejszości, wrócił pamięcią do zdarzeń, które go tu przywiodły. Zaledwie dwa tygodnie temu Bourne wyrzucił go za burtę gazowca. Lot ku powierzchni Pacyfiku trwał długo, więc miał czas przygotować się do lądowania, czyniąc z ciała włócznię, spadającą idealnie pionowo, dzięki czemu uderzenie o powierzchnię wody nie złamało mu kręgosłupa ani nie skrzyło karku. Z wielką szybkością uderzył w taflę wody nogami, a następnie zanurzył się w świat mroku i chłodu tak strasznego, że aż poczuł go w kościach. Później zaczął wypływać.

Gdy pojawił się na powierzchni, gazowiec był już małą kropką na horyzoncie, zmierzającą rażno ku nabrzeżom Long Beach. Arkadin poruszył rękami i obrócił się dookoła w sposób, w jaki kapitan okrętu podwodnego mógłby obrócić peryskopem, by zorientować się w położeniu łądu, jeśli w polu widzenia w ogóle znajdował się jakiś łąd. Najbliżej niego przepływał w tej chwili trawler. Nie chciał mieć z nim nic wspólnego, chyba że sytuacja zrobiłaby się rozpaczliwa. Kapitan czułby się zmuszony poinformować amerykańską Straż Przybrzeżną,

a tego Arkadin pragnął uniknąć za wszelką cenę, bo Bourne z pewnością sprawdzi zapisy straży.

Nie wpadł w panikę, prawdę mówiąc, nie czuł nawet niepokoju. Wiedział, że nie utonie. Był doskonałym pływakiem o wielkiej sile i wytrzymałości, na którą nie wpłynęła znacząco nawet wyczerpująca walka wręcz z Bourne'em. Niebo było czyste, tylko nad stałym lądem rozciągała się chmura sięgająca aż po Los Angeles. Fale to unosiły go, to ciskały nim w rozdzielające je głębokie doliny. Arkadin poruszał nogami, utrzymując w wodzie pionową pozycję. Od czasu do czasu nad jego głową skrzeczała jakaś ciekawska mewa.

Po dwudziestu minutach cierpliwość została nagrodzona. Na horyzoncie pojawił się osiemnastometrowy prywatny jacht, płynący mniej więcej czterokrotnie szybciej niż trawler. Wkrótce znalazł się wystarczająco blisko, by opłaciło mu się zacząć machać. Jacht zmienił kurs niemal natychmiast.

Kwadrans później Arkadin siedział już na pokładzie, otulony dwoma ręcznikami i kocem, ponieważ miał poważnie wychłodzony organizm. Wargi miał sine. Drżał. Właściciel łodzi, facet o imieniu Manny, dał mu brandy i kawałek włoskiego chleba z serem.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział. — Za sekundkę wracam. Muszę zameldować Straży Przybrzeżnej o wyłowieniu rozbitka. Jak się nazywasz?

— Willy — skłamał Arkadin. — Ale wołałbym, żebyś o mnie nie meldował.

Manny wzruszył potężnymi ramionami; w tym geście były też przeprosiny. Był średniego wzrostu, czerwony na twarzy, lysiejący. Ubranie, chociaż niedbałe, świadczyło o zamożności właściciela.

— Przykro mi człowieku. Takie są zasady.

— Poczekaj sekundkę, proszę. No więc tak to wygląda... — Arkadin mówił po angielsku z nosowym, brzękliwym akcentem Środkowego Zachodu. Lata spędzone w Ameryce przydawały mu się w różnych sytuacjach. — Jesteś żonaty?

— Rozwiedziony. Dwukrotnie.